

Triumf historycznych analogii

Analogie są jak syreny z „Odysei”



Analogie są jak syreny z „Odysei” - *Tekst ukazał się w numerze Frondy*

Nieodparta siła analogii

Analogie są jednym z podstawowych, obok dedukcji lub indukcji, sposobów rozumienia rzeczywistości i gromadzenia wiedzy o otaczającym nas świecie ludzkich zdarzeń. Dają podstawę dla konstruowania praktycznych rozwiązań, ocen oraz decyzji. W tym względzie nie zamierzam formułować żadnej fundamentalnej krytyki

posługiwania się analogiami. Z punktu widzenia fenomenu tożsamości są one również istotnym sposobem komunikowania się w ramach wspólnoty. Jeżeli wspólnota, np. narodowa, jest w jakimś zakresie społeczną konstrukcją tworzoną przez narracje, to analogie pełnią tutaj bardzo ważną rolę. Pozwalają członkom wspólnoty odnaleźć się nawzajem w strumieniu informacji i labiryncie znaczeń. Są więc analogie niezbędnym składnikiem każdej tożsamości. Trzeba także zaznaczyć, że – na pewno od czasów św. Augustyna, a może nawet od Plutarcha i jego żywotów równoległych – analogie są ważnym elementem metody pisania o historii, o ile stanowią historyczną egzemplifikację lub wsparcie pewnych ogólnych tez.

Analogie mogą jednak odwoływać się także do sfery dość tajemniczej i niezbyt przejrzystej. Jest nią metafizyka kontyngentnych wydarzeń historycznych. Na pewno ma ona dla wielu przemożny urok. Przypuszczenie, że analogia nie jest tylko historyczną egzemplifikacją, wsparciem aktualnej obserwacji lub tezy, lecz odkrywa przed nami jakąś głęboką prawidłowość, ukrytą pod stertą „obiektywnych” zdarzeń, ma w sobie coś uwodzicielskiego, fascynującego, jak tajemna wiedza Prospera. Siłą analogii jest więc nie tyle ich funkcjonalna oraz metodologiczna strona, ile powab, jakieś magiczne przyciąganie wiedzy o ukrytych prawidłowościach. Idąc za ich głosem mamy wrażenie uwolnienia się od zbędnego bagażu powierzchownych ocen, jakby nagle spadła z naszych zmysłów jakaś zasłona, jakbyśmy nagle uzyskali wgląd w samą istotę rzeczy, w jakiś ukryty mechanizm zdarzeń. Analogie zdają się więc odsłaniać przed nami jakąś szczególną metafizykę historycznych przypadków.

Jest w analogii coś zniewalającego. Analogie są jak syreny z „Odysei”. Aby przepłynąć obok nich i skierować się na obrany cel, trzeba by wpierw zatkać sobie uszy, najlepiej jak najdokładniej zalepić woskiem lub mocno przywiązać się do masztu. Inaczej uraczeni ich śpiewem i oszołomieni pięknem pozostaniemy z nimi już na zawsze, uwięzieni w jednym miejscu. Tak więc w analogiach tkwi niewątpliwie jakaś zniewalająca, przemożna siła. Jej skutkiem jest jednak pozostanie uwięzionym, unieruchomionym. Pod ich wpływem jesteśmy natchnieni, lecz jednocześnie unieruchomieni, zamknięci na drogę do przekształcenia rzeczywistości w nowe, trwałe skutki.

Właśnie ten fenomen analogii jako inspirującego więzienia dla naszego umysłu oraz działania najbardziej mnie zajmuje. Wydaje mi się on szczególnie problematyczny w kontekście obecnej debaty w Polsce po Smoleńsku.

W ostatnim czasie nasz dyskurs pełen jest analogii – przy czym wszystkie mają dość defetystyczną wymowę. Poczucie (zwłaszcza po Smoleńsku), że żyjemy w czasie dramatycznym, sprzyja zapewne sięganiu po analogie, ich budowaniu i rozwijaniu. Najbardziej przemożna z nich, najpotężniejsza w swoim wyrazie i jednocześnie najbardziej zniewalająca, jest ta zestawiająca naszą współczesność z czasami saskimi. Do tej analogii odwoływał się ostatnio we „Frondzie” w znakomitym tekście Grzegorz Górny. Jarosław Marek Rymkiewicz wraca do tej analogii co rusz w swoich wywiadach i prowadzi ją dalej – aż do rozbiorów Polski. Marek Nowakowski wieści koniec suwerenności Rzeczpospolitej, posługując się przemożną analogią Targowicy. Rafał Ziemkiewicz z kolei porównuje naszą stan polskich elit do tych z czasów Królestwa Kongresowego.

Na pewno znaleźlibyśmy jeszcze wiele innych przykładów pokazujących, że tego typu analogie coraz mocniej siedzą w naszych umysłach. Kiedy po Smoleńsku, w maju 2010 roku, Donald Tusk spotkał się w Pałacu na Wodzie w Łazienkach z – ktoś złośliwie mógłby skwitować – „reżimowymi” intelektualistami z komitetu wsparcia Bronisława Komorowskiego, a Andrzej Wajda oznajmił (wśród krzyku zszokowanych pawi pałacowych), że w Polsce trwa wojna domowa i trzeba ją wygrać, mnie samemu cisnęła się do głowy neodparta analogia, przemożna wręcz analogia z czasami może nie saskimi, ale post-saskimi, czasami konfliktu między Stanisławem Augustem a barskimi konfederatami. Kiedy więc czytamy tekst Górnego, trudno od tych wszystkich skojarzeń i analogii się uwolnić. Są one bowiem tak wymowne, tak narzucające się same przez się, że widzimy niemal oczyma wyobraźni samych siebie w środku tamtych wydarzeń, które do złudzenia przypominają nam czasy obecne. Bo też jest to obraz na pewno zastanawiający, uderzający swoją trafnością. Jest to także, niestety, obraz pozwalający nabrać pewności – wszyscy przecież dobrze wiemy, czym to się wszystko skończy. Dlatego w jednym z ostatnich wywiadów dla „Gazety Polskiej” Jarosław Marek Rymkiewicz wprost mówi o tym, że należy, tak jak wtedy, organizować w całej Polsce konfederacje, które by się z całą mocą nowemu rozbiorowi Polski przeciwstawiły – na co redaktor Joanna Lichočka, rozmowę prowadząca, puentuje myśl pytaniem: „Czy uważa Pan, że powinniśmy się zacząć już zbroić?”

W co „utrafiąją” wszystkie owe analogie? Lub lepiej: na co otwierają nam oczy dzięki swej trafności? Czy na to, że istotą obecnej władzy jest zdrada? Że obecna elita polityczna jest, jak dynastia Wettinów, „przywieziona w teczce”? Że Polska nierządem stoi i wkrótce stanie się łupem obcych mocarstw, a o decyzjach polskiego parlamentu i rządu

decydują dzisiaj ambasadorowie ościennych państw? Że polityk X jest odpowiednikiem Rzewuskiego lub Branickiego? Że PO to Targowica, a PiS to Bar?

Ja bym raczej widział wartość tych analogii w odsłonięciu aktualności pewnego problemu niż w rozkoszowaniu się ewentualnymi podobieństwami osób i sytuacji, które mają wartość bardziej dla literackiego obrazowania. Istotą trafności jest pokazanie podobieństwa problemu polegającego na tym, że posiadając formalne atrybuty suwerenności można stać się politycznie zupełnie niepodmiotowym. Taki los spotkał I Rzeczpospolitą w XVIII wieku (począwszy od wojny północnej), czego ówczesną, historyczną konsekwencją stały się rozbiory. Przed takim samym problemem staje III Rzeczpospolita po 20 latach transformacji (choć nie przed jego konsekwencjami).

Co natomiast wydaje mi się nietrafione, a raczej, co zamyka nasz umysł w owych analogiach, czego nie pozwalają one nam dostrzec? Przede wszystkim zamykają nasze oczy na znaczenie obecnych międzynarodowych uwarunkowań (banalna konstatacja: współczesna Europa nie jest tym samym co Europa w XVIII wieku) oraz na obecne procesy społeczne, które zachodzą w Polsce. Te dwie poważne słabości sprawiają, że nasze przemożne analogie funkcjonują w próżni, skutkiem czego wyciągane z nich wnioski są nietrafione.

Na tym właściwie można by ten tekst zamknąć, ograniczając się do dość oczywistego wniosku, że analogiami należy posługiwać się umiarkowanie, bez przesady, gdyż mają one skutek dwojaki: mogą otwierać nasz umysł na aktualność pewnych problemów, mogą też nasz

umysł uwięzić, skazując ludzi na całkowicie przewidywalną powtarzalność zachowań, decyzji, emocji czy ocen. W ten sposób dotykamy jednak tylko zewnętrznej strony całej kwestii.

Trzy postacie polskiego dyskursu

Aby zrozumieć obecną funkcję analogii w polskim życiu publicznym, trzeba powiedzieć sobie trochę o kontekście, w którym one istnieją. A więc o specyfice politycznego i publicznego dyskursu w Polsce, w którym się pojawiają w coraz to bardziej rozbudowanych formach. Każde środowisko polityczno-kulturalne wypracowuje pod wpływem właściwych dla siebie doświadczeń określone formy komunikacji. Także więc w naszym przypadku możemy stwierdzić, że dzisiaj istnieje pod naszą szerokością geograficzno-historyczną specyficzna dla polskiej demokracji forma publicznego dyskursu, która charakteryzuje się pewnymi stałymi cechami. Trzy z nich chciałbym bliżej zdefiniować jako kluczowe dla zrozumienia obecnego charakteru życia politycznego i publicznego w Polsce, gdyż mają one znaczenie dla sposobu, w jaki funkcjonują historyczne analogie.

Tożsamość narracyjna. To jeden z tych fenomenów, które najsilniej określają charakter publicznego życia w Polsce, konstytuujących je zachowań, postaw, podziałów. Tożsamość narracyjna w Polsce to właściwie temat sam w sobie na wielką książkę. W praktyce taka tożsamość oznacza, że najmocniejsze kryteria utożsamiania się (akceptacji), sprzeciwu (odrzućenia), oceny (kto lub co jest miarodajne, autorytatywne, wartościowe) odnoszą się do określonej narracji, opowieści. Dla tożsamości narracyjnej decydujące są osoby, ich biografie, losy środowiska. Jest to rodzaj tożsamości odmiennej od

tożsamości instytucjonalnej lub prawnej, gdzie zasadnicza rola przypada logice, regułom oraz pamięci instytucji lub tradycyjnej wykładni reguł prawnych. U nas narracja jest nadrzędna wobec instytucji państwa czy konstytucji. To nie rola, jaką ktoś pełni w porządku państwa lub systemie prawnym, rozstrzyga o znaczeniu czy ważności, ale rola, jaką ktoś zajmuje wobec czy w ramach dominujących narracji. Mniejsze znaczenie, lub wręcz żadne, ma to, czy ktoś jest przewodniczącym Trybunału Konstytucyjnego, szefem Banku Narodowego czy rektorem Uniwersytetu, wobec tego, jaki ma stosunek do Magdalenki, KOR-u, „Gazety Wyborczej”, braci Kaczyńskich, katolicyzmu, Smoleńska, etc.

Dla świata zewnętrznego ten typ naszej tożsamości narracyjnej czyni nasz dyskurs publiczny dość ezoterycznym, trudnym do rozpoznania i zrozumienia. Dlatego czasami sprawia, że ludzie z zewnątrz są bezradni, nie potrafią przeniknąć sensu, znaczenia, hierarchii podziałów, które my przecież mamy we krwi, podług których poruszamy się niemal intuicyjnie. Biada natomiast nam, jeśli znajdzie się sprytny dyplomata, dziennikarz, lobbysta, który nauczy się posługiwać naszą narracyjną tożsamością lepiej od nas – jesteśmy wobec niego wówczas bezbronni jak dzieci. Obiektywnie jest przecież łatwiej manipulować z zewnątrz tożsamością narracyjną (w dużym stopniu opartą na emocjach) niż przeniknąć do obwarowanej sztywnymi formalnymi regułami tożsamości instytucjonalnej czy prawnej i tak wpływać na nie.

Słuszność relacyjna. To druga, kluczowa moim zdaniem, cecha obecnego dyskursu publicznego w Polsce. W oczywisty sposób jest pochodną tej pierwszej. Spieramy się często w naszej debacie nie wokół wspólnych kategorii: sprawiedliwości, dobra, prawdy, nowoczesnej

Polski, przyszłości następnych pokoleń Polaków. A więc nie spieramy się zwykle po to, aby dojść do własnego, zobiektywizowanego w ramach naszej polskiej wspólnoty rozumienia podstawowych celów i wartości, ale przede wszystkim po to, by wykazać sobie nawzajem fałszywą świadomość lub co gorsza podłe zamiary. Z punktu widzenia samowiedzy wspólnoty o sobie samej, ale także ze względu na zdolność do sensownego pokierowania własnym, narodowym losem, jest to cecha mocno destrukcyjna. Nie szukamy prawdy o sobie (w tym, co dobre, i w tym, co złe), nie tworzymy katalogu błędów, z których możemy się czegoś nauczyć lub zestawu osiągniętych sukcesów, by zrozumieć własną wartość. Ćwiczymy się za to w udowadnianiu sobie słuszności relacyjnej – polega ona na tym, że słuszne jest to, co nasi przeciwnicy atakują, dlatego właśnie, że atakują. Niesłuszne jest to, co chwalą, ponieważ chwalą.

Dlatego też niemożliwa jest dzisiaj obiektywna dyskusja o postępującej autodegeneracji polskiej prawicy, ponieważ jest ona stałym przedmiotem ataku ze strony „Gazety Wyborczej”. Z podobnych powodów nie można przecież na Czerskiej powiedzieć niczego dobrego o pisarstwie Rymkiewicza, Wildsteina, Libery czy Ziemkiewicza, bo to przecież są „prawicowcy”. Można czasami odnieść wrażenie, że wystarczy, by w jakiejś sprawie pojawił się prawicowy lub lewicowy „biskup”, pokropił rzecz prawicową lub lewicową wodą święconą i w ten sposób uświęcił ostatecznie jej pozytywne lub negatywne znaczenie. W polityce słuszność relacyjna jest żelazną zasadą – tam najlepszym ministrem rządu jest zawsze ten, kto jest najbardziej zaciekle atakowany, bez względu na to, czy jest głupkiem, szkodnikiem, czy faktycznie stara się coś pożytecznego zrobić. Kiedy jednak dziennikarze, publicyści czy intelektualisci zaczynają stosować w

debacie publicznej zasadę relacyjnej słuszności, to jest już coś więcej niż oznaka utraty samodzielności, to rezygnacja z odpowiedzialności za wspólnotę komunikacji, za racjonalne ramy dyskursu.

Histeryczna szczerłość. Ta trzecia cecha czasami przybiera zabawne formy pieniactwa, ale zwykle ma o wiele poważniejsze skutki. Jest ona u nas zakorzeniona głęboko w naszym republikańskim kodzie, w niechęci do absolutystycznych rządów, w przekonaniu o nieograniczonej wolności każdej jednostki. Niekiedy słusznie, jak np. w latach 90-tych, kiedy zamknięte w sobie elity podejmowały niejednokrotnie fatalne decyzje o prywatyzacji. Chodzi mi jednak raczej o pewną formę histeryzującej otwartości w języku publicznej i politycznej debaty, na którą choruje przede wszystkim prawa strona. Tutaj niczego nie można utrzymać w dyskrekcji (być może z braku wzajemnego zaufania), tutaj nic dłużej niż jeden dzień nie utrzyma się w tajemnicy, tutaj zaraz ktoś pobiegnie do TVN lub na Czerską i wyleje wszystkie swoje żale, tutaj niemal każdy za jeden lunch u ambasadora jakiegoś dużego europejskiego kraju potrafi otwarcie opowiedzieć mu o wszystkich najskrytszych problemach swojego kraju. W polityce rządzi zasada: powiedzieć wszystko, o czym się wie i co się zamierza zrobić, najlepiej najdobitniej i najgłośniej jak tylko można, i to tak, aby wszystkim z wrażenia kpacie pospadały. To była np. jedna z najśłabszych stron polityki zagranicznej PiS w latach 2005-2007. Skuteczność osiągania celów w polityce (szczególnie tej międzynarodowej) zakłada zdolność także do działania i komunikowania się w arkanach. O pewnych sprawach, poglądach, kalkulacjach nie mówi się dlatego, że chce się osiągnąć swoje cele.

W coraz większym stopniu dotyczy to jednak także polityki wewnętrznej, zwłaszcza w obliczu jej medializacji oraz wobec lęklivej, wygodnej, zainteresowanej przede wszystkim sobą tyranii większości, która ukonstytuowała się w Polsce na dobre. W takich warunkach utrzymanie w ryzach swej historycznej szczerości jest warunkiem sukcesu. Prawica musi zadać sobie pytanie, bazując na doświadczeniach po roku 2005, czy zależy jej bardziej na tym, by wykrzyknąć Polakom i wszystkim innym przez megafon całą swoją prawdę o świecie i o nich, czy bardziej zależy jej na osiągnięciu swoich celów, dzięki czemu będzie mogła realnie zmieniać Polskę.

Nie sposób więc funkcjonowania historycznych analogii rozpatrywać w oderwaniu od tych trzech cech obecnego dyskursu w Polsce. To bowiem specyfika tego dyskursu określa dziś często to, w jaki sposób odczytywane są obecnie historyczne analogie. Dzieje się tak, jeśli analogie stają się po prostu środkiem do budowania podziału oraz identyfikacji w odniesieniu do narracyjnych tożsamości w znaczeniu opisanym powyżej; kiedy są one środkiem do wyrażenia relacyjnej słuszności oraz sposobem na uzewnętrznienia historycznej szczerości.

Zamknięci w politycznym pokoleniu

Wróćmy jednak do istoty problemu, który odsłaniają przed nami popularne dzisiaj analogie z XVIII wiekiem: do problemu podmiotowości i suwerenności. Można bowiem zachowywać wszystkie formalne atrybuty suwerenności, a jednocześnie pozostawać wewnątrz – np. w sensie duchowym, ale także realnie w sferze politycznej – w jakiś zasadniczy sposób niepodmiotowym. Trudno

szukać lepszej egzemplifikacji tego problemu niż ta, jaką była katastrofa smoleńska oraz wszystko to, co się działo przed nią i po niej. Jak sprawić, by ta istota problemu nie uciekła nam w żaden z tych charakterystycznych dla obecnego dyskursu zaułków: w psychologiczny komfort usytuowania siebie w jednym z zasadniczych podziałów w ramach narracyjnych tożsamości, w mechanizm relacyjnej słuszności, wreszcie w przemożną potrzebę historycznej szczerości? Inaczej mówiąc: jak sprawić by utrafiiony przez analogie sens naszego problemu zmusił nas do wysiłku poszukiwania strategii wyjścia z niego, zamiast wpychać w zakłęty krąg podobieństw, z czego wynika cały szereg błędnych praktycznych wniosków? Odpowiedź musiałaby brzmieć: trzeba zająć się analizą współczesnych warunków naszej podmiotowości, która uwzględniałaby zarówno zmianę aktualnych zewnętrznych uwarunkowań Polski, jak i zachodzące w niej realne zmiany społeczne.

Tutaj jednak potykamy się o kolejną przeszkodę. To znaczące, że po katastrofie smoleńskiej nie powstał żaden raport analizujący całościowo stan polskiego państwa pod kątem słabości, które doprowadziły do tego bezprecedensowego wydarzenia oraz wniosków dotyczących koniecznych działań, by nigdy się podobne zdarzenie nie powtórzyło. Takiego zadania nie podjęła się strona rządząca (trudno za taki dokument uznać tzw. raport Millera), ale podobnie nie znajdziemy takiej próby po stronie opozycji (nie spełnia tych warunków także raport Macierewicza). Pewnym wyjątkiem może być analiza podjęta przez tzw. niezależną grupę ekspertów profesora Rybińskiego i generała Petelickiego. Brak takiej analizy z punktu widzenia państwa oraz jego instytucji, analizy, z której wynikałaby też ocena postępowania konkretnych osób, precyzyjnie odsłania źródła mocy oraz intensywności historycznych analogii, które wchodzą w to puste miejsce jako jedyne narzędzie opisu i oceny wydarzenia bez

precedensu. Jak możliwe jest jednak w ogóle istnienie takiego „pustego miejsca”? Co mówi o nas samych fakt jego zaistnienia w obszarze definiowania siebie przez kategorie państwa oraz jego instytucji w kontekście tak bezprecedensowego wydarzenia, jak katastrofa smoleńska? Aby to wyjaśnić, trzeba wrócić do genealogii III RP.

Po 1989 roku nigdy nie podjęliśmy w Polsce zdefiniowania na nowo kategorii własnego państwa ani wypracowania kategorii wspólnoty politycznej – niezbędnych do odpowiedzi na pytanie, kim w ogóle jesteśmy i w jakim celu. Ta słabość dotyczy całej tzw. demokratycznej opozycji, ale w szczególny sposób spoczywa na polskiej prawicy, po której w kwestii tej można było spodziewać się najwięcej. Zajęta jednak budowaniem kontr-salonu oraz kontr-Agory, okazała się niezdolna do samodzielnego, autonomicznego myślenia w tym względzie. Wyjątek stanowiła idea, koncepcja IV RP, która w warstwie koncepcyjnej była bardziej czymś intuicyjnym niż całościowym projektem, a w warstwie politycznej stała się szybko propagandowym hasłem jednej partii, niezdolnej do przekształcenia swej idei w systematyczny proces reform. Dlatego politycznie została szybko zużyta, a przez ideowych przeciwników ośmieszona, zdemonizowana i skutecznie zneutralizowana. Ponieważ więc nigdy nie spróbowaliśmy skonceptualizować na nowo polskości, dzisiaj Polska, taka jak została konstytucyjnie sformalizowana w 1997 roku, wciąż pozostaje w większości wytworem postkomunizmu oraz demokratycznej opozycji – tej „michnikowej” i „anty-michnikowej”. Nowa Polska nie ukonstytuowała się nigdy otwarcie i w całości we wspólnej przestrzeni publicznej.

W tym obszarze należy umieścić główną oś ideowego konfliktu, ale również główny splot personalnych zależności, które trwają i wpływają na naszą rzeczywistość w Polsce od przeszło trzydziestu lat. U ich podłoża leży szczególny, formacyjny typ doświadczenia politycznego lat 70-tych, 80-tych i 90-tych, który można uznać za formację konstytuującą specyficzne polityczne pokolenie. III Rzeczpospolita, której jesteśmy dziś obywatelami, została ulepiona w sensie ideowym gdzieś na przełomie lat 70-tych i 80-tych przez konkretnych ludzi, którzy w tym sensie stanowią polityczne pokolenie, choć niekoniecznie pokolenie w znaczeniu biologicznym; czasami znacząco różnią się między sobą wiekiem. Ale nie wiek ich tutaj wyróżnia, lecz tamta sytuacja „lepienia” charakteru obecnej Polski, a więc pewne konkretne, decydujące, konstytutywne dla przyszłości wydarzenie historyczne. Tworzyli tą naszą obecną Polskę i Adam Michnik, i Jarosław oraz Lech Kaczyńscy, i Lech Wałęsa, i Wojciech Jaruzelski, i Czesław Kiszczak, i Tadeusz Mazowiecki, i Bronisław Geremek, i Donald Tusk, i Aleksander Kwaśniewski oraz Leszek Miller. Ci ludzie ulepili dzisiejszą Polskę i do dzisiaj mają ją w sensie dosłownym i w przenośnym w swoim wyłącznym posiadaniu. Dlatego kiedy patrzymy dziś na ostatnie 22 lata naszego nowego politycznego życia, to widzimy wciąż te same twarze, tych samych ludzi, którzy prowadzą ten sam spór, w ramach którego cały czas mają Polskę w swoim wyłącznym posiadaniu.

Fakt ten ma bardzo wiele wspólnego z obecną sytuacją „pustego miejsca” w refleksji nad państwem jako całością. Także a może nawet przede wszystkim po Smoleńsku. Bowiem dla owego politycznego pokolenia w tej części, która odnosi się do demokratycznej opozycji, to nie państwo stanowiło podstawowy przedmiot sporu. Można powiedzieć, że ono nigdy nie miało zasadniczego znaczenia (wyjątkiem był być może KPN, który nie odegrał jednak większej roli w tworzeniu

demokracji po 1989 roku). Walka z systemem (nie tylko komunistycznym, ale jako postawa antysystemowa w ogóle), a więc antysystemowość jako zasada (moralistyczny i estetyczny elitaryzm zamiast kryteriów politycznych oraz relacje personalne jako podstawowe kryterium lojalności) tworzyła ideową substancję tego pokolenia i została przeniesiona po 1989 roku do rzeczywistości III Rzeczypospolitej jako miarodajna dla życia publicznego.

Jest szczególną cechą polskiej demokracji, że ani jej powstanie w 1989 roku, ani funkcjonowanie przez ponad dwie dekady nie doprowadziło do zmiany politycznego pokolenia, a w konsekwencji także politycznego myślenia. W tym sensie charakteryzuje ją szczególna ciągłość, która wiele mówi o jej mechanizmach. Polska polityka po 1989 nigdy nie została zajęta przez następne pokolenia, pokolenia innego typu formacyjnego doświadczenia, które potrafiłoby podważyć zasadę antysystemowości, dominacji personalnej lojalności czy moralnego elitaryzmu, wprowadzając w to miejsce nowy typ politycznego myślenia oparty na kategorii państwa, republiki czy wspólnoty politycznej.

Jeśli spojrzeć na współczesną Anglię, to w życiu politycznym nie znajdziemy tam już praktycznie ludzi premier Margaret Thatcher. W Niemczech już dawno przeminęła epoka Helmuta Kohla. We Francji dawno skończyła się władza ludzi Francois Mitteranda. W Polsce jest jednak inaczej. W Polsce wciąż trwa jedno i to samo polityczne pokolenie. To, czy zastąpi je nowe, będzie jednym z najważniejszych testów dla autonomicznego trwania naszej politycznej rzeczywistości, ale także jednym z podstawowych warunków wyrwania go z coraz większej anachroniczności. Jak na razie można powiedzieć, że wbrew

pozorem nie znajdujemy się w „trzewiach” jakiegoś polskiego Lewiatana, polskiego państwa, lecz że zostaliśmy zamknięci w trzewiach jednego politycznego pokolenia.

Twierdzę stanowczo, że problem „pustego miejsca” w refleksji nad państwem polskim jako całością w kontekście katastrofy smoleńskiej, sięganie po analogie historyczne jako sposób radzenia sobie z wydarzeniem bez precedensu, skłonność do antysystemowości zamiast do politycznego rozumu, oraz cały kontekst dyskursywny polegający na narracyjnej tożsamości, relacyjnej słuszności i potrzebie historycznej szczerości – to wszystko jest zjawiskiem, które ma swoje źródło w jednym politycznym pokoleniu. Pokoleniu, które od trzydziestu lat posiada Polskę, i które replikuje swoją dominującą pozycję w kolejnych politycznych odsłonach.

Marek A. Cichocki

Przeczytaj także:

Grzegorz Górny o czasach saskich

Dariusz Gawin o 1709 roku

Mateusz Matyszkowicz o Stanisławie Augustie